

Palimpsest tożsamości

Laudacja dla Macieja Zaremby Bielawskiego i Mariusza Kalinowskiego

„Trzej synowie dorastali w oku cyklonu, nieświadomi sił, które rozrywały ich rodzinę” – mówi bohater *Domu z dwiema wieżami* Macieja Zaremby Bielawskiego, doniostej, głęboko dotkliwej, napisanej po szwedzku arcy-polskiej opowieści. Przytoczone zdanie można potraktować jako rodzaj ramy wyznaczającej granice świata nakreślanego w tej wyjątkowej książce, łączącej w sobie cechy pieczołowicie udokumentowanego reportażu, osobistych wspomnień i wnikliwego eseju o Polsce i polskości.

Woku cyklonu, jak wiadomo, panuje spokój, jest to jednak spokój osobliwy, bo otoczony zwartą strefą ulewnego deszczu i burz; jest to spokój panujący w sercu katastrofy, nietrwały, podszyty zniszczeniem.

Maciej, czy też Maćko, jak czasem mówi o nim ojciec – reformator polskiej psychiatrii i potomek rycerza spod Grunwaldu – jest jednym z trzech synów, dla których rodzice stworzyli ten kruchy świat, umawiając się, że ich dzieci będą „utrzymywane w niewiedzy o wszystkim, co mogłoby zakłócić ich duchową równowagę”. Udaje się realizować ten pakt, aż do pewnego grudniowego dnia w 1968 roku, kiedy matka – również psychiatra – musi coś Maćkowi powiedzieć. „Wyjeżdżamy. Jestem Żydówką” – tak brzmi wyznanie, które wywraca do góry nogami świat Macieja i jego braci. Kończy się niewinność, kończy się dzieciństwo, a nawet więcej – okazuje się, że dzieciństwo, które przeżywał Maciek, w które wierzył – było w jakimś sensie fikcją, tak jak fikcją są opowieści ojca o greckich boginiach i bogach: Ananke, tej pozbawionej litości władczyni nieuchronności, Arachne nieustannie tkającej misterne wzory – jak wątki opowieści – o Erosie i Psyche, wyznaczających ścieżki ludzkich miłości.

Wświecie wyznania matki i doświadczeń, które po nim następują – wygnania z kraju, z języka, z samego siebie – Maciej zaczyna dostrzegać szczeliny w tej fikcji, przypominając sobie rozmowy dorosłych zniżane do szeptu, kiedy w pobliżu znajdowały się dzieci, poczucie, iż jest stworzeniem „przyciągającym hieny”, emocjonalną niedostępność matki, będącej wszakże specjalistką od emocji. Niewinna świadomość dziecka i świadomość dorosłego, który już utracił wiarę w spójność i sensowność świata, nakładają się na siebie. „Jak mam to nazwać, to, co mnie pozbawiło kraju” – pyta „ja,” „on,” „ten, którym byłem” i „ten, którym się stanę” – pyta o to nas wszystkich.

Maciej Zaremba Bielawski po latach odtwarza historię, która doprowadziła do jego narodzin. Badając wspomnienia, listy i dokumenty archiwalne odkrywa kolejne warstwy palimpsestu własnej tożsamości. Na tyle, na ile to możliwe, rekonstruuje przedwojenne i wojenne losy swoich rodziców. Wnika w najtrudniejsze, najbardziej przemilczane fundamenty tego, co kształtowało nasze wspólne – polskie, żydowskie – dziedzictwo.

Jest to książka bolesna, artykułująca doświadczenie, od którego wolelibyśmy się odwrócić, stawiająca pytania, których wolelibyśmy nie stawiać. Jest także elegią – dla rodziców, którzy już nie żyją, dla własnej młodości i niewinności, ale także dla jakiejś Polski, prawdziwej albo fikcyjnej – jak po wielokroć przytaczane we wspomnieniach mity greckie.

Autor mistrzowsko operuje narracją, zarazem klarowną i wielowarstwową, znakomicie przetożoną na polski przez Mariusza Kalinowskiego, laureata szóstej edycji Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego za przekład *Krótkiego przystanku w drodze z Auschwitz* Görana Rosenberga i dwukrotnego członka jury tego konkursu.

Trzeba podkreślić absolutną unikalność tego tłumaczenia, będącego przekładem autoryzowanym, czyli w istocie powstałym w wyniku wyjątkowej współpracy dwóch wybitnych pisarzy – autora i tłumacza. Każde słowo tego przekładu zostało zaakceptowane przez autora. W efekcie tłumaczenie jest tak dobre, że łatwo ulec złudzeniu, że książka została napisana po polsku. Mariusz Kalinowski wydobywa podskórną polszczyznę napisanej po szwedzku opowieści Bielawskiego – polskość ukrytą w szwedczyźnie – sprowadzając tę historię z powrotem do domu, z którego została przecież wypędzona. Podróż tej opowieści między językami – możliwa dzięki ogromnej pracy utalentowanego tłumacza – odzwierciedla opisany w niej los. Polszczyzna tej opowieści jest jednocześnie swojska – arcyswojska – i obca. Dojmująco obca, jak tylko to, co najbliższe i skrywane może być obce. Aby dokonać rozgrywającego się na tyłu poziomach transferu znaczeń trzeba być absolutnym mistrzem tej wielkiej sztuki dwudziestego pierwszego wieku – sztuki przekładu.

Dom z dwiema wieżami to książka wielkiej literackiej urody, napisana tak, jak komponuje się utwór muzyczny, rytmiczna, melodyjna, a kiedy trzeba – operująca ciszą i niedomówieniem. Język tej książki ucieleśnia niemożliwość oswojenia traumy. Gdyby była chociaż trochę mniej piękna, nie dałoby się wytrzymać bólu zawartej w niej opowieści.

Jednak obok cierpienia dzieło Macieja Zaremby Bielawskiego i Mariusza Kalinowskiego przynosi także radość i nadzieję. Że w naszym „czasie marnym” można jeszcze tak mówić: pięknie, spokojnie, klarownie. Że można wypowiadać prawdę głosem, który momentami łamie się ze wzruszenia czy bezsilnej złości, ale pozostaje wolny od nienawiści i pogardy. Że można, choćby tylko tak, ocalić godność pojedynczych ludzkich losów, tak kruchych w konfrontacji z okrutną historią.

Radość tym większa, że autorem tej ważnej książki jest reporter, który przed kilkoma laty pełnił funkcję przewodniczącego jury naszego konkursu. W tym roku nagroda wędruje do niego, choć to nie on, a my zostajemy obdarowani.

Julia Fedorczyk